



REMIATA PAUCHEL/POLIFILM/EAST NEWS

ROZMAWIA MONIKA BRZYWCZY

Awangarda mnie nudzi

Krystyna Janda. Ikona polskiego kina i teatru, a jednocześnie bizneswoman. Szefowa dwóch warszawskich scen – Polonii i Och-u. Zamyka sezon, podczas którego po raz kolejny wyprzedziła wszystkie teatry państwowe w kraju liczbą wystawionych spektakli. Etyka pracy i tytaniczna moc Jandy zawstydzają zwykłych śmiertelników.

Jak wyjaśnić fenomen kobiety, której na wszystko starcza siły, talentu i pomysłów?

Chciałabym porozmawiać z panią o figurze silnej kobiety w sztuce i w życiu. Co to dla pani znaczy być silnym człowiekiem?

Trudne pytanie. Pytanie na duży esej. Siła – w powszechnym rozumieniu – kojarzy się z bezkompromisowością, racjonalnym myśleniem, harmonią wewnętrzną połączoną z żelaznymi nerwami. Ale co z tymi, którzy są bardziej skomplikowani, a ich siła jest w ich wrażliwości, wyobraźni, emocjach, w wielu odcieniach człowieczeństwa? Są powodowani wyobraźnią, wrażliwością i poczuciem piękna? Są bardziej zajęci życiem duchowym niż sprawami realnymi? Jeżeli myślimy o takiej potocznej sile, polegającej na tym, że ktoś sobie daje radę z życiem, to chyba nie jest to interesujące...

I tak naszkicowała pani błyskawicznie swoją dwubiegunowość. Z jednej strony mamy kobietę przedsiębiorcę, która daje sobie radę w biznesie, musi zapłacić rachunki, dopilnować, żeby wszystkie trybiki maszyny teatralnej działały, a z drugiej aktorkę, artystkę o wyjątkowym talencie i wrażliwości. Jak to się daje pogodzić?

Nie wiem.

Niepokorna, niezależna, silna, bezkompromisowa – tak można określić Agnieszkę z „Człowieka z marmuru”, pani filmowego debiutu, ale też panią osobiście. Przed naszą rozmową obejrzałam film ponownie. Jeśli chodzi o panią, Wajda miał niesamowite wyczucie. On panią wyświetlił.

Pierwotnie miałam do zagrania tylko dwie niewielkie sceny, tyle było w pierwszej wersji scenariusza. Ale potem Wajda i Ścibor-Rylski dopisywali sceny ze współczesności, już jakby dla mnie, w trakcie kręcenia filmu. Pamiętam taką scenę: siedzę na huśtawce w ogrodzie Andrzeja Wajdy, po zdjęciach, a oni wymyślają dla mnie nowe perypetie. Myślę, że spodobała im się figura, która materializowała się na ich oczach. Grałam, niewiele wtedy umiałam, raczej wywoływałam w sobie portret zbiorowy niepokornej młodzieży

z warszawskiego liceum plastycznego, które skończyłam, awangardowej, która chciała zmieniać świat. Bo oczywiście nie podobala im się smutna perełowska rzeczywistość. Pamiętam, jak w 1968 r. połowa klasy maturalnej wyjechała demonstrować do Czechosłowacji. Wrócili pobici. Nas, młodszych, już nie wypuścili, nauczyciele zamknęli nas na klucz i kazali odbierać rodzicom.

Ale czytałam, że ci nauczyciele byli dosyć liberalni. Rozumieli, gdy mówiła im pani, że woli godzinę życia niż godzinę fizyki! Albo że lepiej obejrzyć „Szalonego Piotrusia” zamiast zająć z rzeźby. W tamtych czasach zostawiali tyle wolności?

Tak! To była niesamowita szkoła! Dzięki tym ludziom, którzy sami byli malarzami, rzeźbiarzami, miało szansę powstać kolejne pokolenie artystów i taka „dzika rola” jak „Agnieszka”. Wajda wiedział, że dziennikarka w „Człowieku z marmuru” to musi być ktoś wyrazisty, wolny, niezależny. Długo szukał aktorki do tej roli.

Gdzie panią znalazł?

Myślę, że powiedziało mu o mnie parę osób. Między innymi Andrzej Łapicki, bo właśnie zagrałam Dorianę, partnerując mu w „Portrecie Doriany Graya” Osborne’a. Mój późniejszy mąż, bo obejrzał mnie w „Trzech siostrach” Bardiniego w telewizji, a to on miał robić zdjęcia do „Człowieka...”

Była już pani po szkole?

Studiowałam tylko trzy lata, urodziłam Marysię, karmiłam, siedziałam z nią w domu. To znaczy, właśnie zaczynałam grywać w teatrze. Prawie równocześnie miałam dwie premiery, Dorianę właśnie i Anielę w „Ślubach panieńskich” Fredry. Aniela to jedna z najbardziej romantycznych „panienek” w literaturze teatralnej. Te kilka elementów pewnie złożyło się na to, że zostałam zaproszona na zdjęcia próbne do „Człowieka z marmuru”.

Rzadko się zdarza tak intensywny początek życia artystycznego. Była pani oszołomiona tą prędkością wydarzeń?

Trochę, bo jednocześnie w tym samym okresie była „Guma do żucia”, czyli mój debiut śpiewany z piosenką Marka Grechuty na festiwalu w Opolu.

Jak pani to ogarniała? Z malutkim dzieckiem w domu...

Miałam mamę, gospozię, męża. Zawsze byłam otoczona ludźmi. Nigdy w tym sensie nie byłam sama. A moich synów już w ogóle wychowali mama i mąż, bo mnie po prostu ciągle nie było. W tamtych czasach zresztą to była norma: pomagala rodzina, przyjaciółki, sąsiedzi, ciocie, babcie. Wszyscy tak chowaliśmy dzieci. Ludzie nie żyli „osobno”, jak teraz. Myślę, że w podbramkowej sytuacji, gdybym musiała nagle jechać na plan, mogłabym oddać dziecko na ten czas właściwie każdej z sąsiadek z mojej klatki.

Miała pani na tyle zaufania?

Sąsiadki też miały dzieci, Marysia się z nimi przyjaźniła. Ludzie żyli wtedy inaczej. Teraz opowiadam to szczegółowo, grając spektakl „Danuta W”. Pani Danuta opowiada, jak sąsiadki pomagały jej w najtrudniejszych momentach. Samej z pięciorgiem, sześciorgiem dzieci, z mężem w areszcie, jeszcze zanim powstała „Solidarność”. To były inne czasy. Dzisiaj nie przyszłoby mi do głowy, żeby nawet odwiedzić kogoś na moment bez uprzedzenia telefonicznego... Nie miałabym śmiałości. Paradoksalnie telefony komórkowe, Internet, Facebooki, Twitterzy nas od siebie oddaliły. Zabiły i ludzką empatię, i solidarność.

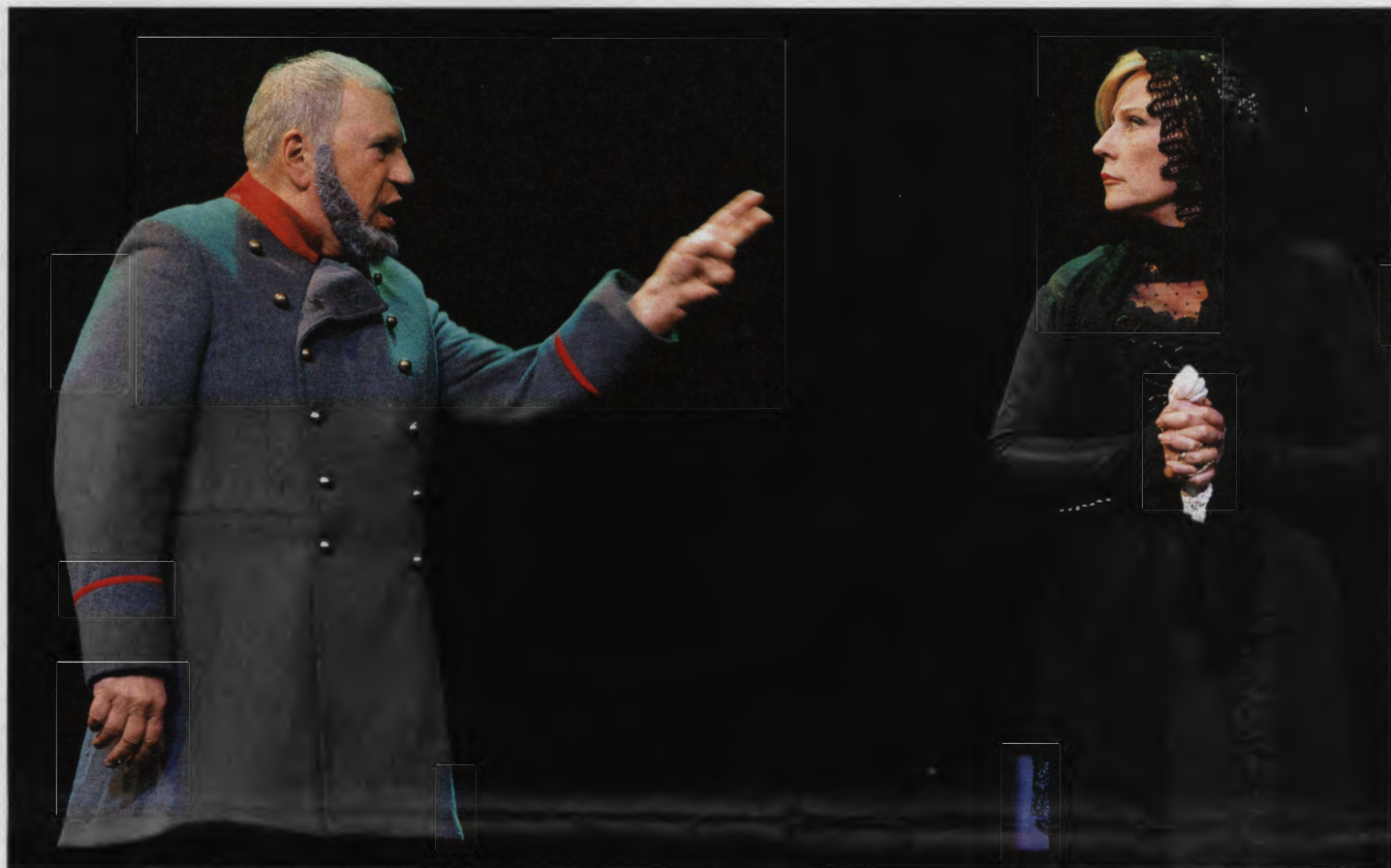
Rozumiała pani wtedy, że „Człowiek z marmuru” będzie wydarzeniem epokowym dla polskiego kina?

Nie. Najważniejsze dla mnie było to, że spotkałam Andrzeja Wajdę. Byłam tak zafascynowana jego sposobem myślenia o sztuce, sposobem pracy, że w ogóle, albo bardzo mało, nie interesowało mnie, co będzie dalej z filmem.

KRYSTYNA JANDA

urodzona w Starachowicach w 1952 r. Ukończyła wydział aktorski na warszawskiej Akademii Teatralnej, zadebiutowała w teatrze w „Portrecie Doriany Graya” Osborne’a i rolę Niny Zarzecznajwyspektaku „Czajka” Czechowa. W filmie – rolę Agnieszki w „Człowieku z marmuru” Andrzeja Wajdy. Od 20 lat nieprzerwanie gra w filmach, teatrach i telewizji, a od 10 lat także reżyseruje. Nagrodzona Złotą Palmą w Cannes za rolę w filmie „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego i Srebrną Muszlą w San Sebastian za film „Zwolnieni z życia” Waldemara Krzystka. Dziś dyrektorka dwóch warszawskich scen – Polonii i Och-Teatru.

Na poprzedniej stronie: kadr z filmowego debiutu Krystyny Jandy. „Człowiek z marmuru”, reż. Andrzej Wajda, 1976 r.



Słyszałam, że cenzura go nie dopuszcza do premiery. Już nawet nie wierzyłam, że film wejdzie kiedykolwiek na ekran, ale jakoś nie to było dla mnie istotne. Spotkanie z Andrzejem Wajdą i praca z nim, to, czego się nauczyłam, było ważniejsze.

Co było w nim tak fascynującego?

Wszystko. Żar. Sposób myślenia. Reagowania. Odwaga i brak zadowolenia z siebie. Zrobiliśmy świetne ujęcie, scenę, a on szukał dalej, zastanawiał się, co by było, gdybyśmy to nakręcili inaczej. Uważał, że zawsze jest coś lepszego, mądrzejszego, bogatszego. Gdzieś obok, niedaleko. Myślę, że miał umiejętność wydobywania z ludzi 200–300 procent tego, co mogli mu dać. Z ludzi i z siebie. To była wielka szkoła, te trzy miesiące z nim.

Ale pani też nie należała i nie należy do aktorów, które czekają, leżąc na kanapie w swojej

garderobie. Mówi pani o sobie, że zawsze była osobą włączoną, zainteresowaną. Przyglądającą się akcji na planie, zza pleców reżysera.

Nigdy nie byłam „gwiazdą” w klasycznym tego słowa znaczeniu (śmiech). Nigdy nie myślałam tylko o sobie ani tym bardziej nie leżałam, czekając (śmiech). Interesowałam się też zawsze całością, a nie tylko swoją rolą. Nie byłam zajęta stricte karierą – najważniejsze było to, co robimy i dlaczego. Zawsze byłam partnerem dla reżysera, ale też dla scenografa, kostiumologa, wszystkich... A na planie pierwsza reagowałam, biegłam po rekwizyty, rzucałam się do przestawiania mebli, wysypywania z popielniczek... Taki typ.

Razem wymyśliście te słynne dzwony i dzinsową koszulę z „Człowieka”? Ikoniczny już strój w polskim kinie.

Byłam tak ubrana, gdy Andrzej Wajda mnie spotkał. Tak przyszedł na zdję-

W komedii „32 omdlenia” wg Czechowa Krystynie Jandzie na scenie partnerują Ignacy Gogolewski i Jerzy Stuhr.

cia próbne. Spodnie były moje, koszulę mi dodali. Andrzej dorzucił szalik i przede wszystkim wojskowy worek amerykański, a w nim cały dobytek. Ale ja zawsze „współpracowałam” z kostiumologami, scenografami. Uczyłam się wcześniej historii sztuki, tańca, muzyki. Miałam solidną bazę, wiedzę.

Ale w pani w rodzinie nie było tradycji artystycznych.

Przypuszczam, że rodzice po prostu nie mieli szansy, by kształcić się w tym kierunku, zdobywali zawody „poważne”, ale ojciec np. grał na wszystkich instrumentach a vista. Miał słuch absolutny! Świetnie rysował.

Kim był z zawodu?

Inżynierem mechanikiem zbrojeniowcem. Urodziłam się w 1952 r., rodzice przeprowadzili się ze Starachowic, gdzie wcześniej ojciec budował fabrykę Stara, do Ursusa, gdzie trzeba

było postawić fabrykę, która też miała aspekt zbrojeniowy. To był trudny czas. Do siódmego roku życia zostałam z dziadkami. Siostra, jako młodsza, była przy rodzicach, a ja dojechałam do nich, gdy zaczęłam chodzić do szkoły.

Czy wówczas miała pani kobiecie autorytety?

Zawsze miałam, ale wychowywałam się w świecie, w którym kobiety, moja babcia, moje ciotki nigdy nie pracowały. Moja mama już tak. Żadna kobieta w rodzinie się chyba nie rozwiodła, mimo że te małżeństwa nie zawsze były szczęśliwe... I to kobiety decydowały o rodzinie, o naszym życiu. Mężczyźni pracowali, byli głowami rodzin, dom był podporządkowany temu, żeby było im wygodnie, żeby byli zadowoleni, docenieni, najedzeni. Ale o wszystkim decydowały kobiety. Pamiętam też, że były bardzo kobiece. Dbaly o siebie, oszczędzały się, nie dźwigały ciężarów, nie zajmowały się cięższymi pracami. Czytały książki, chodziły na spacer, do kina i prowadziły domy, rodziły dzieci i wychowywały je.

Ale czy kobiety nie były marginalizowane w tamtych czasach? Musiały przecież przebyć długą drogę do niezależności, wiedzy, stanowisk, równouprawnienia.

Tak. Ale u nas w domu się tego nie czuło. Moja babcia miała dużą bibliotekę i wiedzę, była czytana, ciotki też i żyły tak, jak lubiły. Nigdy nie odczuwałam, że są niezadowolone! Dopiero moja mama i pracowała, i uczyła się jednocześnie, mając dwoje dzieci. Ojciec też. To było ciężkie.

Kto więc był pani autorytetem?

One wszystkie. Bardzo je lubiłam i szanowałam. Miały niezależną myśl, mądrość życiową i harmonię wewnętrzną, nawet kiedy zdarzały się tragedie życiowe i niepowodzenia. Były silne. Potem tych kobiet imponujących mi było wiele: nauczycielka od muzyki, od francuskiego, pewna baletnica, która mieszkała w naszym bloku, aktorki na studiach – Mikołajska, Mrozowska, Hanin, Romanówna...

O Romanównie powiedziała pani w jednym z wywiadów: „Nienawidziła mnie jak psa i mówiła: »Umaluj się, bo wyglądasz, jakbyś przed chwilą rzygała. Kto będzie się z Tobą chciał całować?«”. Walka na każdym zajęciach, zapasy prawdziwe trwały...

Byłam jej zaprzeczeniem. Ona, symbol kobiecości i finezji, i ja, ostrzyżona na zapalkę, beczelna gówniara. To spotkanie było wspaniałe. Iskrzyło. Pokazała, jak nosić szal, tren, jak posługiwać się wachlarzem, co robić na scenie z chusteczką. I jak być słabą kobietą na scenie.

BF **Sławę, powodzenie, sukcesy, pieniądze już miałam. Jak mówi Magda Umer – myśmy już były.**

Podobno pracę magisterską napisała pani o sukcesie.

To był żart. Byłam w ciąży, nie miałam czasu, na obronę przyszedł z dzieckiem na ręku. I karmiłam przed i po na korytarzu. Kiedy weszłam, profesor Bardini powiedział: „Słuchaj, to jest w ogóle zawracanie głowy, idź do dziecka, bo to ważniejsze. Pracy broń nie musisz, twoje wnioski, jak zdobyć sukces, są co prawda oparte na analizie bohaterów masowej wyobraźni i na roczniku statystycznym, ale są też

oczywiste. Wyszło ci, że trzeba być psem Szarikiem” (śmiej).

Wcześniej Bardini też powiedział: „Pani jest nienormalna”, a Zapasiewicz dodawał: „Z niej będzie geniusz albo kompletne zero!”

No tak, nie byłam „letnia”. Dostałam po pierwszym roku indywidualny tok studiów od prof. Jana Kreczmara. Nie wiem, co to było. Dlaczego. Byłam bardzo charakterystyczna, ani ładna, ani brzydka. Inna.

No bo, jak wiadomo, w szkołach aktorskich wybiera się dziewczyny, ładne, zgrabne o długich włosach.

Ale wtedy uroda nie decydowała o przyjęciu do szkoły. Pamiętajmy, że zbliżał się czas paradokumentów, kina moralnego niepokoju, ładne aktorki nie były potrzebne. Potrzebne były takie, z którymi każdy mógł się zidentyfikować.

Pani historia ze zdawaniem to fenomen. Poszła pani z koleżanką, żeby jej tylko dotrzymać towarzystwa, dodać otuchy. W rezultacie to pani zdała, a ona nie. Czasami w życiu decydują przypadek, siła i upór.

Ależ w życiu decyduje talent! Inteligencja i pracowitość. Taką szansę jak ja dostało masę aktorów w Polsce. Wiele nie umiało z niej skorzystać. Trzeba czuć, myśleć i być zdrowym! (śmiej) Ja okazałam się niezniszczalna. Prowadzenie fundacji i dwóch teatrów też

Rolę „Shirely Valentine” Janda zagrała ponad 400 razy. Najpierw w Teatrze Powszechnym, a potem reinscenizowała spektakl w Polsce.



ADAM KLOSINSKI

nie jest proste. Jeżeli coś po mnie zostanie... to właśnie to. Trwamy już osiem lat, z sukcesem. W okresie międzywojennym żaden z takich teatrów nie przeżył dwóch lat. Grając farsy i wodewile! Nasz sukces jest prawdziwy! Ale liłości, nie przez przypadek!

Więc jaka jest pani recepta na sukces?

Nie ma! Za każdym razem trzeba zaczynać od zera. Przy każdej nowej roli i przedsięwzięciu staram się zrozumieć, z czym mam do czynienia i dla kogo to robię. Oprócz tego, że mi to sprawia przyjemność. Staram się działać logicznie i z sercem. Sztuka dla sztuki nigdy mnie nie interesowała. Interesowało mnie porozumienie z ludźmi, z publicznością. Na jak najwyższym poziomie, ale możliwie masowe. Współprzeżywanie, współodczuwanie. Awangarda wyłącznie mnie wtedy nudziła. I nudzi do dzisiaj. No, chyba że Kantor czy Tomaszewski w swoich czasach, ale reszta...

Kiedy odeszłam z Powszechnego, byłam pewna, że dostanę propozycje z innych teatrów. Ale nikt nie zadzwonił, żaden dyrektor.

Czyli teatralne eksperymenty, choćby Grotowskiego, to nie pani bajka...

To, co robił Grotowski, miało dla mnie ogromne znaczenie. Byłam wdzięcznym, zaintrygowanym widzom. Natomiast nigdy nie interesowało mnie granie czy w ogóle uczestnictwo w takim teatrze. Ani też nie interesował mnie pewien styl życia, dość ekstremalny i ostateczny, który jest, jak się wydaje, nierozwalny z takimi poszukiwaniami.

Ekstremalny tryb życia to warunek eksperymentu?

Nie, oczywiście, że nie. Ale ja uprawiam ten zawód trochę jak urzędniczka. Czytam, myślę logicznie, uczę się na pamięć, jestem punktualna, słowna, staram się dogadać z reżyserami co do celu, treści i sposobu, zanim zaczniemy pró-

by, zadaję im pytania, czekam na odpowiedź, a potem wstaję rano, biorę prysznic i idę do pracy. Traktuję to jak zawód, a nie posłannictwo, styl życia lub cel życia.

Teatr to dla pani taka przyziemna rzecz?

Teatr jest sztuką wyobraźni. Emocji, uniesień, ale także poprawnego mówienia, dobrej emisji głosu, poprawnej dykcji, wyrazistości ruchu, dobrego języka porozumiewania się z publicznością. Moją szkołą zresztą przez pierwsze lata był film. Przez 10 pierwszych lat to plan filmowy był moim domem. Do teatru przyszedłam z filmu.

I co pani ze sobą zabrała?

Prawdę, realizm i umiejętność opowiadania ludziom historii. Precyzyjność przekazu. I że wszystko jest w sztuce możliwe i wszystko da się zagrać.

Co pani myśli o problemach lokalowych Grzegorza Jarzyny, który zbiera pieniądze, sprze-

daje cegiełki, by wykupić siedzibę swojego teatru, czy Krzysztofa Warlikowskiego, którego teatr utknął w tymczasowej siedzibie, niedawno jeszcze zajmowanej przez MPO?

Nie wiem, wydaje mi się, że cena za ten budynek nie jest dla miasta wygórowana. Nie bardzo rozumiem tę sytuację. Ale wiem też, że obaj panowie wcześniej odmówili oferowanych im kilku teatrów warszawskich z dotacjami im przypisanymi. Teatry warszawskie permanentnie szukały dyrektorów, a obaj panowie byli niechętni. Tak mi to przedstawiano.

Może dlatego, że usiłują od lat uciec od teatru instytucjonalnego, skostniałego w ich mniemaniu. Albo chcą pracować z własnymi zespołami?

Nie wiem. Może.

Wiele państwowych warszawskich teatrów jest w fazie kryzysu.

Ale dlaczego?! W pewnym momencie Grzegorzewski wziął Studio i zrobił z niego teatr, jaki chciał. Nie wiem, o co chodzi.

W tym kontekście pani teatry – Polonia i Och – są rzeczywiście ewenementem. Jak policzył pewien internauta, Polonia i Och zagrały łącznie 810 spektakli w sezonie, a doliczając spektakle grane na wyjeździe – 909 spektakli. Przegoniły tym samym Narodowy, który wystawiał 444 razy.

Sama się zdziwiłam! Ale u nas to wynika z potrzeby – żeby się utrzymać i produkować nowe rzeczy, musimy grać. Poza tym uważam, że to zdrowe. Niektóre teatry warszawskie zagrały według obliczeń tego samego internauty tylko 39 przedstawień w tym sezonie. Widocznie je na to stać. Nie wiem, w jakim procencie teatry państwowe utrzymują się z biletów. Kiedyś, kiedy byłam w Teatrze Powszechnym, było to 38 proc. Nie sądzę, żeby ten procent był osiągalny dzisiaj. A może? My się utrzymujemy w 90 proc. z biletów.

Ostatnio powiedziała pani, że gdyby jeszcze raz miała podejmować decyzję o założeniu teatru, to by się pani nie odważyła.

Gdybym kupiła Polonię i grała sama 10 razy w miesiącu, to bym się utrzymała. Grałabym z kolegami, przyjaciółmi, małe rzeczy. Tylko ja mam niestety ciągoty społeczne, chcę edukować, robić rzeczy większe, ważne. To kosztuje. Na prawie 50 tytułów, jakie mamy, gram w ośmiu. Niech pani zobaczy, ile jest debiutów w tym teatrze.

Po co był Och?

Och! Też z potrzeby. Opłacalność teatru mierzy się od 550 miejsc na widowni. Teatr Polonia ma ich 266. Mieśliśmy około 30 tytułów, dużo publiczności, nie mogliśmy tego rozładować i pomyślałam, że może... dałoby się odetchnąć i móc robić, wystawiać choćby Szekspira i wieloobsadowe sztuki. Ale okazało się, że kalkulacja finansowa wynajętego i wyremontowanego przez nas budynku dawnego

W „Człowieku z żelaza” obok aktorów zagraли autentyczni przywódcy strajku w Stoczni, m.in. Lech Wałęsa.

W październiku 2012 r. odbyła się premiera spektaklu „Danuta W.”, w którym Janda wcieliła się w rolę Danuty Wałęsy.



RENATA PAUCHEL/POLFILM/FEAST NEWS



KAROLINA WOLF

kina Ochota jest po prostu mordercza. Och kosztuje 8 tys. dziennie, kiedy stoi. Trzeba grać! Scena Polonii od początku była nasza, wynajmujemy foyer, hole, kasę itd., to każdego roku coraz więcej pieniędzy, bo miasto nie ma litości, dla teatrów także, dla fundacji również... no, ale... Polonia jest dużo tańsza w utrzymaniu.

W którymś momencie ten teatr przeżywał absolutne przeładowanie, bo grali państwo trzy spektakle dziennie.

Wciąż tak funkcjonujemy. Spłaciliśmy długi. Dwa lata temu teatr był w tragicznej sytuacji. Był zadłużony na półtora miliona. Straciliśmy płynność finansową. I znów pożyczylam swoje pieniądze fundacji, i zaczęliśmy od nowa. Zmieniliśmy zarządzanie, strukturę, system kontroli, księgowość. Restrykcyjnie pilnowaliśmy budżetów. Dziś nie mamy długów i mocno stoimy na nogach. Tyle że dalej jest to walka na śmierć i życie. Państwo, miasto nie jest dla nas prawdziwym partnerem, a my mamy ambicje repertuarowe.

Słyszałam, jak pani mówi, że to pierwsze spokojne sezony.

Tak. Dziś wiem wszystko. Orientuję się we wszystkim co pozaartystyczne. Moja córka zresztą znacznie lepiej niż ja jest wprowadzona w te sprawy. I dzięki Bogu. Mamy plany finansowe, pełen monitoring frekwencji, sprawozdania, robimy według nich korekty, wszystko gra. To działa. Co więcej, przez te osiem lat wychowała się tu niezła drużyna fachowców.

Słyszałam, że nie rezygnują państwo z grania nawet wtedy, gdy ktoś z obsady zachoruje. Podejmuje pani wówczas błyskawiczną decyzję o zmianie repertuaru. Po chwili zapada decyzja i na scenie staje inna scenografia, inny spektakl.

To nic nowego dla teatru. Obserwowałam, jak prowadził teatr Janusz Warمیński, potem Zygmunt Hübner. Nie odwoływało się spektakli! To była ostateczność. Jeżeli ktoś się wybrał do teatru, elegancko ubrał, kupił bilet, przyjechał taksówką i „ma na nas ochotę”



– odprawić go z niczym? Zawiedzionego? Nie dać mu w zamian innego spektaklu? To niedopuszczalne!

Plus, pani tu ciągle jest. Nawet kiedy pani sama nie gra. To jest tradycja dyrektorów, którzy nie zostawiali własnego teatru, których obecność była ważna.

Bo trzeba się zdecydować. Albo się jest dyrektorem i bierze się odpowiedzialność, albo się robi inne rzeczy. Jestem do wyłącznej dyspozycji mojej fundacji. Dzień i noc. Pracuję w zasadzie tylko dla niej.

Nie było ciekawych propozycji?

Wiele! Kusiło, ale jestem dorosłym człowiekiem. A poza tym sławę, powodzenie, sukcesy, pieniądze już miałam. Jak mówi Magda Umer – myśmy już byli.

„Byłam tak ubrana, gdy Andrzej Wajda mnie spotkał. Tak przyszedł na zdjęcia próbne. Spodnie były moje, koszulę mi dodali. Andrzej dorzucił szalik i przede wszystkim wojskowy worek amerykański, a w nim cały dobytek”.

To wstrząsające, że pani mówi: moje życie jest już za mną. To takie życie po życiu?

Wcale tak nie mówię! Ale przez te 40 lat życia zawodowego naprawdę dużo rzeczy zrobiłam i wiele z nich się udało. I będą nowe, wspaniałe, tyle że u nas. W naszych teatrach.

Na czym w takim razie pani zależy?

Żeby to żyło. To wspaniałe życie. Świetnie się czuję, także bawię, mam wolność artystyczną. Prowadzenie takich teatrów to nie lada satysfakcja.

No ale z tym teatrem to jednak jest walka.

Wiele instytucji kulturalnych upada...

My działamy na innych zasadach. Oglądamy każdą złotówkę, ale jeśli warto, nie żałujemy pieniędzy na sprawy artystyczne... Na to, co na scenie. Poza sceną jest ubogo i dobrze, że tak jest. I pro-

szę zrozumieć, to nie jest moje widzimi się, my walczymy o życie. Dwie nieudane premiery i wypadamy. A wie pani, ile kosztuje zlikwidowanie tej fundacji? Kilka milionów. I gdyby do tego doszło, to byłyby to moje prywatne pieniądze. Wszystko tu jest łącznie z leasingami podżywiane moim osobistym majątkiem i majątkiem moich dzieci. To my ponieśliśmyby konsekwencje. I muszę być na to przygotowana.

Cena wolności to teatr, który musi być komercyjny, tak?

Komercyjny? Komercyjna to jest wata cukrowa. Teatr prawie nigdy. Proszę spojrzeć na nasz repertuar. Nie powstydziliby się go żaden teatr świata! Każdy teatr wysoko dotowany. Są sztuki, które zarabiają na te, na których tracimy. Gdyby pani pokazała opłacalność spekta-

kli, toby się pani zdziwiła. Przynajmniej połowa jest nieopłacalna, a my je gramy dla honoru domu, dla sztuki. To kwestia wyborów artystycznych i szacunku do naszej publiczności. Tak było zresztą w każdym teatrze, w którym byłam. Tak rządili moi dawni dyrektorzy. Rzykujemy często i mówienie, że to jest komercja, jest dla nas obraźliwe... Dochodowa i komercyjna jestem tylko ja. I dzielę się tym z innymi.

Jest plotka, która głosi, że śpi pani jedynie cztery godziny. Jeżeli chodzi o liczbę rzeczy, które ma pani do zrobienia, to by się zgadzało.

To najczęściej zadawane mi pytanie. Mam jeszcze kilka innych chorób czy przypadłości, mam je wymienić? Ciągłe tłumaczę się z tego, że pracuję. A ja wciąż powtarzam, praca jest dużo bardziej interesująca niż zabawa.

W takim razie jeszcze jedna słabość: jest pani cały czas online.

To też praca dla teatru, dla fundacji.

Ma pani prywatne konto na Facebooku?

Nie. Natomiast PR teatru to bardzo skomplikowana rzecz. Liczba wejść na moją stronę to nakład bardzo dobrego pisma kobiecego, ponad 100 tys. miesięcznie. Wiadomość, którą zamieściłam wczoraj na mojej stronie i na autoryzowanym przeze mnie FB o tym, że Warszawa nie ma informatora kulturalnego, przeczytało 25 tys. osób już w godzinę po zamieszczeniu tego tekstu. A jednocześnie w czasach tak dzikich, jakie są teraz, ważne jest kształtowanie wizerunku osobiście, nieoddawanie tego innym.

Niczego się już pani nie boi?

Jedyne, czego się boję, to choroby, śmierci, nie mam na to wpływu. Ale staram się jednak trochę mieć (śmiech): przyjaźnię się z wieloma sławami lekarskimi. Gdyby pani zobaczyła skład naszych widowni premierowych! To jak zjazd warszawskich specjalności lekarskich. Boję się chorób i podziwiam lekarzy. Uwielbiam ich i zabobonnie wierzę w ich wiedzę i moc.

Co by pani robiła, gdyby nie mogła pracować, reżyserować, grać?

Mogłabym pisać, fotografować, malować. Ale teatr i życie z nim to moja miłość. Mam 60 lat. Nie wiem, ile mi życia zostało, więc uważam, że powinnam robić tylko to, co lubię, co mnie intere-



suje, bawi, cieszy, sprawia przyjemność. Pracuję.

Nie ma czasu na emeryturę?

Nie, ale zastanawiam się, jak długo jeszcze będę „aktualna”. To poważny problem i dla artysty, i dla kogoś, kto prowadzi takie instytucje jak ja. Bo w pewnym momencie jednak wypada się z pociągu. Widziałam to wielokrotnie – aktorów, którzy wychodzili na scenę i nie rozumieli, że to, co grają, już nie trafia, nie ma takiego znaczenia.

Są też takie gwiazdy, jak Łomnicki, które grały do ostatniej godziny życia.

Łomnicki? Tak, był wspaniały do końca, do ostatniego tchnienia, chciałoby się powiedzieć. Ale akurat się z nim przyjaźniłam i wiem, jak to wyglądało od kulis. Sześć lat po wyrzuceniu z te-

atru chodził i błagał, żeby ktoś dał mu zagrać Leara. I nikt go nie chciał. Tak! los. Kiedy odeszłam z Powszechnego, też byłam pewna, że dostanę propozycję z innych teatrów. Ale nikt nie zadzwonił, żaden dyrektor...

Nie wierzę! Może się pani bali, że pani jest zbyt dużym formatem, że zburzy pani równowagę w zespole?

Formatem? Bzdura! Jestem dobrą aktorką. Tyle. Najpierw planowałam wyjechać z Polski, a potem postanowiłam jednak zrobić teatr. Tęskniłam do grania, a nikt mi tego grania nie proponował. Taki polski koloryt lokalny.

Teraz ma pani swoje teatry i, co ciekawe, zatrudnia pani w strefie organizacji prawie same kobiety...

Oj nie! Pracuję tu też z mężczyznami, prawie wszyscy od strony techniki, mediów, sceny to mężczyźni. Jest tu też bardzo wielu aktorów i tak naprawdę wielu z nich dźwiga ten teatr na plecach, jeśli chodzi o stronę artystyczną. Ogromny wkład do naszych teatrów wnieśli Jurek Trela, Jurek Stuhr czy Krzysiek Globisz, Ignacy Gogolewski, Jurek Łapiński, Andrzej Seweryn, Jan Englert, Piotr Machalica, Wiktor Zborowski, Zbyszek Zamachowski, Lech Łotocki, Czarek Żak, Artur Barciś, cała Montownia, Maciek Stuhr, Jacek Poniedziałek, Rafał Mohr, Arek Janiczek... i wielu innych. Są nie do przecenienia.

Jednak Polonia to republika kobiet. W zespole od strony organizacji pracują niemal same panie...

W takim razie i w Och-Teatrze także. To jeden organizm. Tak, kobiety tu są tymi, które organizują, zarządzają, planują, pilnują, przewidują, czują, dostrzegają, reagują, opiekują się, trzymają za rękę, uśmiechają się, dbają o atmosferę i porządek, tworzą zaplecze i front. A wszystkie są mądre, wykształcone, aktywne, piękne i są także wspaniałymi ludźmi. Kobieta to przyszłość człowieka – jak to ładnie ktoś napisał. I bardzo nam tu z nimi, z tymi nadzwyczajnymi kobietami, bezpiecznie. 

Krystyna Janda w „Człowieku z żelaza”, reż. Andrzej Wajda, 1981 r.